

WOJAK JANOSZ.

POEMAT

SZANDORA PETŐFIEGO

przetłum.

Władysław Sabowski.

KRAKÓW.

NAKŁADEM TŁÓMACZA. — CZCIONKAMI KAROLA BUDWEISERA.

1869.

3863/62

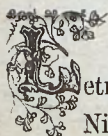
LP II 106

167938
I

Gusiatkiewicz Irene
Kce. M. Stowackiego 41/43
22.3.1962r. 10. 21r



I.



Letnie słońce zionie niesłychanym żarem,
Niebo zda się palić nad juhasbojtarem,
Próżno tylko trawę wypala na łące,
Bo serce juhasa i tak już gorące.

W sercu jego młodém wielka miłość gore:
Płonąc nią on pasie stado owiec spore.
Stado owiec w dali żdźbła zielone skubie,
Pasterz się położył wśród trawy na szubie.

Miał dokoła kwiatów różnowzorych morze,
Lecz nie myślał szukać wdzięku w ich doborze,
Bo o staję dalej płynął strumień mały,
I tam jego oczy ciągle się zwracały.

Patrzył nie za falą w blasku słońca drżącą,
Lecz za jasnowłosą w strumieniu stojącą,
Na téj jasnowłoséj dziewczyny warkocze,
I na jój kibici zarysy urocze.

Wchodząc w nurt ugięła swojego ubrania,
I tak pochyłona wzięła się do prania,
Po nad wodą widać dwa gładkie kolanka,
Zachwyt, urok, podziw Kukorycy Janka.

Bo tym, co był w trawie, to nie tajemnica,
Był nikt inny tylko Janczi Kukoryca,
A tą, co bieliznę prała wśród potoku,
Była Ilusz, perła, droga Janczi oku.

„Perło moja droga, moja Ilusz duszo,
Rzekł Janosz miłosną dręczony katuszą,
Spójrz na mnie, bo w twardém życiu jakie wiodę,
Z ciebie mam jedyną rozkosz i osłodę.

„Czarnych twoich oczu rzuć na mnie promieniem,
Wyjdź, niechaj cię drżącym obejmę ramieniem,
Wyjdź z wody na chwilę, luba moja, słodka,
Niech ma dusza z twoją w uścisku się spotka.“

„Ty wiesz Janczi, serce, że jabym wyjść rada,
Nie przestając pracy, dziewczę odpowiada,
Lecz okropnie muszę śpieszyć się z robotą,
Bo mam złą macochę, bo jestem sierotą.“

Piękna jasnowłosa tak odpowiedziała,
I znów bez wytchnienia, bez spoczynku prała,
Więc się podniósł Janczi z rozpostartej szuby,
Zbliżył się i słodko przemawiał do lubój.

„Tyś moja gołąbka, ma synogarlica,
Przyjdź niech pocałunek złożę na twe lica,
Tu macochy twojej nie widać, nie słysząc,
Nie daj mnie biednemu z tęsknoty usyszać.“

Zwabił dziewczę Janczi słodkimi słowami,
Objął ją za szyję obiema rękami....
Ten chyba, co piasek stworzył i zrachował,
Wiedział, ile razy twarz jój ucałował.



II.

Czas w ten sposób płynął i szybko i miło,
Słońce już różowo strumień ubarwiło,
Gdy macocha zrzędna kręci się i mruczy:
„Gdzież to, gdzież Iluszka tak się dzisiaj włóczy?”

I zła sekutnica dąsa się i zżyma,
Że sieroty biédnej jeszcze w domu niéma,
I we wściekłym gniewie na pole wypada:
„Znajdę cię, próżniaku, ej, biada ci, biada!”

Biedna-żeś ty Ilusz, sieroto nieboga!
Już za tobą stoi czarownica sroga,
I drze gardło, wrzeszczy, wydyma swe płuca,
I miłosnych czarów błogie sny zakłóca.

„A ty niegodziwa! wyrzutku zuchwały,
 Żyjesz na tym świecie dla hańby, zakąły,
 Kradniesz dzień, czas pędzisz w próżniactwie, bez sromu,
 Patrzcie!.... i z mężczyzną!.... Precz mi z mego domu!“

„No, no, dosyć będzie waszój gadaniny,
 Zamknij stara gębę, nie łaj mi dziewczyny,
 Bo jak Ilusz jeszcze łzę wyleje jedną,
 To ostatnie zęby bardzo wam przerzedną.“

I zasłaniał Janczi swą kochankę drżącą,
 Swą nad wszystko drogą, przed jędzą wrzeszczącą,
 I z spojrzeniem, w którym wściekły gniew się pali,
 Po tém, co już wyrzekł, tak przemówił dalej:

„Jeśli nie pragniecie ze mną mieć rachunku,
 Nie ważcie się robić dziewczynie frasunku,
 Bo ona się na śmierć z ciężkiej pracy zrywa
 I chleb suchy za to jada nieszczęśliwa.

„Idź Iluszeko teraz. Nie jesteś niemową,
 Powiesz mi, gdy zacznie dręczyć cię na nowo,
 Wnet me pięści na nią gradem się posypią....
 Stara nie kładź palca we drzwi, bo przyskrzypią.“

Tak powiedział Janczi i wziął szubę z ziemi,
 Szybkim krokiem poszedł za owcami swemi,
 I dopiero spostrzegł z obawą niemąłą,
 Że niebardzo wiele owiec pozostało.

Janczi Kukoryca szybko nogi stawiał,
Nie żeby się bardzo kropidła obawiał,
Bo choć jeszcze wiosen dwudziestu nie przeżył,
Silnym był i byłby z dwudziestu się zmierzył.

Jednak choć się nie bał, przecież szybko zmykał,
Bo gniew gospodarza słusznie go dotykał;
Nie bojąc się bójki, nie chciał dojść aż do niej,
Pan był dlań jak ojcem, nie wzniosłby nań dłoni.

Zmykał, aż gospodarz ustał zmordowany....
Janczi poszedł dalej przez zielone łąny,
Dalej, w prawo, w lewo.... W której spocząć stronie
Nic nie wiedział. Strasznie paliły go skronie.



IV.

Błyszczą gładkie wody w strunyku szemrzące,
W głębi ich się kąpią drżących gwiazd tysiące....
Janczi, sam nie wiedząc jak, w błędnym pochodzie
Znalazł się przy drogiej Iluszki ogrodzie.

Stanął i wydobył flet swój ulubiony,
I takimi zagrał żalosnemi tony,
Że źdźbła traw, co pola jak kobiercem kryły,
Łzami rozczulonych gwiazdek się zrosiły.

Na rogoży w sieni już spała Iluszka,
Bo innego w lecie nie miała łóżka,
Lecz na odgłos dobrze znanój piosnki Janka,
Wyszła wnet na łąkę zobaczyć kochanka.

Zobaczywszy Janczi Ilusz aż zadrżała
 I w przestrachu ledwie wyszeptać zdołała:
 „Janczi, serce, co ci? ty mój drogocenny,
 Bładyś jako miesiąc wśród nocy jesiennój.“

„Hej! jak nie być blady, dni moich ozdobo,
 Gdy po raz ostatni dziś widzę się z tobą.“
 „Janczi, już spojrzenie przelekło mnie twoje,
 Przestań takiej mowy, bo drzę, bo się boję.“

„Widząc raz ostatni, wiosno duszy mojej,
 Flet mój raz ostatni twą tęsknotę koi,
 Uścisk mój ostatni na twych ust koralu....
 Idę ztąd.... zostaniesz w boleści i żalu.“

Opowiedział wszystko z przytłumioném łkaniem,
 I na piersi lubej rzucił się z szlochaniem,
 Objął ją, a oczy zwrócił w inną stronę,
 Pragnąc przed nią ukryć, że były złzawione.

„Moja Ilusz droga, moja rózo słodka,
 Bóg ci pomóż, szczęsna niech cię dola spotka;
 Ujrysz krzew złamany, jak nim wiatr popycha,
 Za kochankiem błędnym westchnij sobie zcicha.“

„O mój Janczi, duszo, idź, gdy tak potrzeba,
 Niech twe kroki wiedzie Bóg wszechmocny z nieba,
 Gdy złamany kwiatek ujrysz gdzie wśród drogi,
 Wspomnij o więdnącej kochance niebogiej.“

Tak się rozstawali jako liść z konarem,
Serce jój płakało boleści bezmiarem,
On do łez kochanki mieszając łzy swoje,
Rękawem koszuli ocierał ich zdroje.

I puścił się w drogę, nie wiedząc gdzie idzie,
Wszystko mu to jedno było w jego biédzie....
Tu pasterskie dzieci świstały hałaśnie,
Tam ryczały woły.... zważał na to właśnie!

Droga sercu wioska już po za nim leży,
Już pozagasały ogniska pasterzy,
Staął, raz ostatni pragnąc rzucić okiem,
Wieża nań spojrzała czarnej mary wzrokiem.

Gdyby kto szedł obok, słyszałby z pewnością
Jak mu serce w piersi biło z gwałtownością;
Czaple tylko górą w powietrzu leciały,
Ale zbyt wysoko i nic nie słyszały.

Bez spoczynku, nocą, wciąż tak dalej kroczył,
I czuł jakiś ciężar, co go strasznie tłoczył,
Myślał, że to szuba gniotła mu ramiona,
A to mu tak serce ciążyło wśród łona.



V.

Słońce weszło, miesiąc powrócił do domu,
Janczi się zobaczył wśród *Pusty* ogromu,
Od strony wschodowej do zachodniej strony,
Ciągnął się bez końca step nieprzemierzony.

Nigdzie drzew, ni krzaków, ni barwistych kwieci,
Tylko niska trawa od rosy się świeci,
Daléj w blasku słońca jezioro się pieni,
W pośród szmaragdowej soczewic zieleni.

Nad jeziora brzegiem czapla łupu chciwa
Poluje na ryby, łowi je, spożywa,
Ptastwo wodne stadem buja nad wodami,
Żwawo szerokimi trzepocząc skrzydłami.

Janczi szedł wciąż szybko *Pustą* niezmierzoną,
 Za nim szły: cień czarny, czarnych myśli grono;
 W słońcu się dokoła kąpała natura,
 Tylko w jego sercu była noc ponura.

Słońce już zrobiło z pół swego pochodu,
 Gdy dopiero Janczi uczuł nieco głodu,
 I nic w tém dziwnego, nie jadł od wieczora,
 Ustawiała noga, aż dotąd tak skora.

Usiadł tedy, widząc, że spocząć potrzeba,
 I wydobył z torby słoniny i chleba,
 Patrzyło nań słońce, niebo, a pod niebem
Delibab cudowna.... jadł słoninę z chlebem.

Dziwnie smakowała uczta niezbyt spora,
 Chciał się po niej napić, poszedł do jeziora,
 Brzegiem kapelusza czerpnął nieco wody,
 I krew jego spiekła doznała ochłody.

Niezaraz się znowu puścił w świat daleki,
 Wprzód mu sen znużone zamrużył powieki,
 Kretowiny sobie wyszukał pod głowę,
 Pragnąc w śnie do drogi znaleźć siły nowe.

Sen go poniósł do téj, z której wyszedł wioski,
 W objęcia Iluszki padł wolny od troski,
 Już z jég ust w uścisku miał spić miód i mleko,
 Gdy go zbudził piorun padły niedaleko.

Spojrzał w *Pustę* z żalem za tem, co śnił błogo,
 I w pobliżu burzę zobaczył złowrogą,
 Co szła coraz bliżej, gromami ciężarna,
 Tak jak dola jego straszna, smutna, czarna.

Wszystko się dokoła w czarny kir przybrało,
 Błyskawicą krwawą niebo się krajało,
 Pasma chmur ulewą miotały jak w szale,
 Na jeziorze grube tworzyły się fale.

Janczi się na kiju sparł, wsunął na czoło
 Kapelusz z wielkimi brzegami w około,
 Szubę wziął na wywrót i swój wzrok ponury
 Wlepił w czarną burzę, w wielki step i w chmury.

Jak szybko ulewa na step zawitała,
 Tak też piorunowo dalej poleciała,
 Wszystkie chmury zmiotła siła wiatru skóra,
 I na wschodzie błysła tęcza różnowzora.

Janczi ze swój szuby strząsnął wód potoki
 I puścił się dalej, dalej w świat szeroki.
 Słońce już spać poszło i spało już pewno,
 On ciągle szedł dalej przez *Pustę* bezdrzewną.

Wreszcie go zawiodła droga w leśne strony,
 I wszedł w las ogromy, gęsty i zielony.
 Kruk, co świeżą właśnie padliną się raczył,
 Witał go krakaniem, kiedy go zobaczył.

Lasy ani kruki zrazić go nie mogą,
Szedł więc Janczi dalej wązką przez las drogą.
Przez drzew liście czasem na ścieżynę małą,
Błade księżycowe światło się wdzierało.



VI.

Już się pewno dobrze ku północy miało,
Gdy w gęstwinie lasu coś zamigotało.
Spostrzegłszy blask Janczi szedł w tę stronę dalej,
Poznał, że to światło w okienku się pali.

Myślał sobie, dążąc za niém w ciemnym borze:
„To światełko czarzę wskazywać mi może.
Tak, to czarda pewno. Przy bożej pomocy,
Dojdę tam i znajdę przytułek wśród nocy.”

Janczi się omylił, nie czarda to żadna,
Lecz dwunastu zbójców jaskinia szkaradna.
Zgromadzeni właśnie dookoła stołu,
W niej siedzieli wszyscy z swym wodzem pospołu.

Północ, rozbójnicy, pałki, strzelby, noże,
Rzecz to djabła warta, każdy przyznać może;
Janczi się na sercu dziwnie jakoś stało,
Lecz nie stracił ducha, wszedł do chaty śmiało.

„Daj-Bóg dobry wieczór!” Takie pozdrowienie
Wyrzekł Janczi wchodząc w zbójckie schronienie,
Za broń zaraz wszyscy pochwycili zbroje,
W tém wódz się odzywa, ciszę nakazuje:

„Człeku nieszczęśliwy, mów kto jesteś prędko?
I z jaką tu wszedłeś w nasze progi chętką?...
Masz rodziców, żonę, niech po tobie płaczą,
Bo już ciebie chłopcze nigdy nie zobaczą.“

Serce Janczi śmiało nie przyspiesza bicia,
Jego twarz nie zbladła, wzrok nie stracił życia.
Wysłuchawszy wodza grożącej przemowy,
Odrzekł pewnym głosem, a takimi słowy:

„Kto ma coś w swém życiu co doń przywiązuje,
Ten się z niebezpieczeństw ucieczką ratuje,
Ja nie dbam o życie ciężkie i złamane,
Więc ktobądź jesteście, bez strachu zostanę.

„Jeśli wasza wola, to mi w swojej chacie
Nie zrobicie złego, miejsce na noc dacie:
Jeśli chcecie, nóż mi utopicie w łonie,
Nie zostawię wiele żalu po mym zgonie.”

Tak rzekł swego losu czekając bez drżenia,
 Zbójcy wytrzeszczyli oczy z zadziwienia,
 A sam wódz łagodnie przemówił do niego:
 „Krótko-ć powiem, bracie, ale co dobrego.

„Jesteś tegi chłopak przyznać ci to muszę,
 Musisz mieć prawdziwie rozbójniczą duszę,
 Nie dbasz o swe życie, nie bledniesz przed nożem,
 Słuchaj, zostań zbójcą, my ci dopomożem.

„Grabież, mord są żartem dla naszej gromadki,
 A dobrego żartu nagrodą dostatki.
 Patrz, w téj beczce srebro, w téj po wręby złota,
 Zostań nam kolegą, znajdzie się robota.”

Janczi tym projektem nie był zachwycony,
 Lecz wlażł między wrony, więc krakał jak ony:
 „Dobrze, oto ręka, jestem wam kolegą,
 Dziś jest najpiękniejszy dzień życia mojego.”

„Upiędnim go jeszcze, wódz na to zawoła,
 Pijmy, niech się wszystkie rozpogodzą czoła,
 Z księżych piwnic nieraz winaśmy czerpnęli,
 Dna szukajmy w dzbanie, myśl się rozweseli.”

Każdy zbójca patrzył w swój dzban tak głęboko,
 Że odbiegał rozum, a bieleło oko,
 Tylko Janczi jeden miary się pilnował,
 Choć go wódz i każdy ze zbójców częstował.

Wkrótce całą bandę sen pijany zmorzył,
 Janczi liczył na to, więc jakoby ożył,
 I gdy legli zbójcy dokoła pod ławy,
 Takie ze swą myślą rozpoczął rozprawy:

„Dobréj nocy, chłopcy!... sen wasz będzie wieczny,
 Powstaniecie chyba na sąd ostateczny.
 Wasza dłoń przecięła życie wielu ludzi,
 Ja wam to odpłacę.... nikt się z was nie zbudzi.

„A teraz do skarbów! Wypcham torbę niemi,
 Wrócę do cię, Ilusz najdroższa na ziemi,
 Skończ się nareszcie twoja smutna dola,
 Będziesz moją żoną... jeśli Boża wola.

„Wybuduję w samym środku wioski chatę,
 I wesele sprawię wspaniałe, bogate,
 I będziemy żyli jak ptaszęta w gaju,
 Albo jako pierwsza para ludzi w'raju.

„Jednak Stwórco-Boże miałebym sumienie,
 Łupem rozbójników obciążać kieszenie?
 Krwią się każda sztuka tego złota plami,
 Byłebym szczęśliwy z takimi skarbami?

„Nie! tych bogactw nie chcę, dłoń ma ich nie ruszy,
 Nie opłacą one sumienia katuszy,
 Piękna, słodka Ilusz, cierp swą twą dą dołę,
 I swe biedne życie zdaj na Bożą wolę.”

Tak rozmawiał Janczi z swoją myślą własną,
Wyszedł wzięwszy świecę palącą się jasno,
I zapalił od niej cztery dachu końce,
Wkrótce wybuchł płomień jasny jako słońce.

Wnet domostwo objął pożar w swe ramiona,
Szła w obłoki ognia kolumna czerwona,
Kirem okrył niebo dym zionący z dachu,
I patrzący z góry księżyc zbladł z przestachu.

Od promieni światła odlatały z krzykiem
Poczwarny nietoperz z ponurym puszczykiem,
Oślepione blaskiem zorzy nocne ptaki,
Tłuką się o siebie, o drzewa, o krzaki.

A gdy na las z rana wzrok zwróciło słońce,
To patrzyło tylko w zwałiska dymiące;
Patrzyło ze zgrozą w okna wpół-zwalone
Na dwunastu zbójców szkielety zwęglone.



VII.

Od téj nocy Janczi uszedł świata kawał,
Już mu obraz zbójców w pamięci nie stawał,
Gdy raz w świetle słońca ujrzał, że coś błyska,
Poznał, że to wojsko, kiedy podszedł zblizka.

Byli to żołnierze, wspaniałe huzary,
Słońce tak igrało z bronią staréj wiary.
Konie ich spienione rżały i tentniły,
Potrząsały grzywą, dumnie łba wznosiły.

Gdy ich Janczi ujrzał jadących przez błonie,
Serce mu zadrgało w piersi, w lewéj stronie,
Myślał: „Gdyby chcieli przyjąć mnie w żołnierze!
Pędzić takie życie wielka chęć mnie bierze.“

Kiedy przyszła bliżej kohorta bojowa,
 Z ust dowódcy Janczi te usłyszał słowa:
 „Baczność, chłopcze! na bok! usuń nam się z drogi,
 Djabli cię uczyli koniom leżeć pod nogi.“

Na to rzecze Janczi z westchnieniem głębokiem:
 „Wodzu! błędnym pątnik na świecie szerokiem,
 Gdybyście do wojska przyjąć mnie zechcieli,
 Tobym jakoś słońcu w oczy patrzył śmielój.“

Wódz odrzekł mu na to: „Do naszej ruchawki
 Wchodzi się dla walki, a nie dla zabawki;
 Na francuza napadł turczyn, syn pogański,
 Spieszym zbrojno naród wspomagać chrześcijański.“

„Byłoby to dla mnie i dumą i chwałą
 Na rumaku dzielnym w bój się puszczać śmiało.
 Lepiej raz się wybrać z pogany na wojnę,
 Niż wciąż w duszy zwalczać troski niespokojne.

„Prawda to, że dotąd nic nie umiem prawie,
 Tylko pasać owce na zielonej trawie,
 Lecz jestem madjarem, — madjar z bożej dłoni
 Wyszedł w świat do konia, do walk i do broni.“

Długo prawił Janczi, gdy się tak rozgadał,
 Jego wzrok ognisty reszty dopowiadał,
 Źle się nie popisał, owszem zyskał względy,
 Przyjął go dowódca do swojej komendy.

Trudno skreślić jako cieszył się bez miary
Janczi, gdy czerwone wkładał szarawary,
Gdy rzuciwszy szubę mentą się odziewał,
Gdy błyszczącą szablę słońcu pokazywał.

Z pod bułanka kopyt tysiąc iskr wleciało,
Gdy na jego siodło Janczi wskoczył śmiało,
A gdy siedział na nim w rzędzie z walecznemi,
Toby nie zachwiało nim trzęsienie ziemi!

Bardzo się dziwili bracia szeregowi,
Że tak strój huzarski przypadał Jankowi,
A gdziekolwiek wojska dzień kwaterą stały,
Z Janczim się dziewczęta ze łzami żegnały.

Trzeba jednak wyznać, co się dziewcząt tycze,
Że Janczi był zimny na wdzięki dziewicze,
I słusznie, bo chociaż zwiedził świat jak długi,
Nad Iluszkę swoją nie zobaczył drugiej.



VIII.

I szli tak pochodem, wciąż dalej i dalej,
Aż się do tatarskiej krainy dostali,
Kraina to groźna niebezpieczeństwami,
Którą zamieszkuje lud z psimi głowami.

Wyszedł do nich książę ludu psio-głowego,
I rzekł, jakby mówił coś najgrzeczniejszego:
„Jak mieliście śmiałość wejść do naszej ziemi?
Wiecież, że my żyjemy ciałami ludzkimi?”

Wielki strach ogarnął nielicznych madjarów,
W obec tysiąc razy liczniejszych tatarów,
Szczęściem szedł tamtędy, jakby skutkiem cudu,
Z swój dobroci słynny król murzynów ludu.

Wziął on pod opiekę hufiec węgrów dziarski,
 Bo za swęj młodości był w ziemi madjarskiej,
 I zacny monarcha miał w pamięci świeżej,
 Że go przyjmowali węgrzy jak należy.

Więc jako druh Węgier od dawnego czasu,
 Postanowił wywieźć węgrów z ambarasu,
 I po przyjacielsku, jako do równego,
 Tak mówił do króla kraju tatarskiego:

„Dobry przyjacielu, pozwól im iść dalej,
 Oni zrzządzać szkody tu nie zamierzali,
 Lud ten mi jest znany, pełen szlachetności,
 Pozwól mu przez kraj twój iść dla méj miłości.“

„Chcesz królu, niech idą z sakwami i wozy.“

Taką dał odpowiedź książę pełen grozy,
 Kazał im dać paszport i zalecił srodze,
 Żeby im nikt przeszkód nie śmiał stawiać w drodze.

Już bez przeszkód tedy madjary ciągnęli,
 Aż wreszcie do granic Tatarji dobrnęli,
 Z radością... i słuszną... bo kraj nieciekawý:
 Prócz mięsa z niedźwiedzi i fig, żadnej strawy.

IX.

Góry i doliny tatarskiej ziemicy,
Już zostały w tyle madjarów konnicy,
Weszli bowiem właśnie do włoskiego kraju,
I szli dalej cieniem rozmarynów gaju.

Niewesoło było wśród węgrów obozu,
Członki im kostniały od wielkiego mrozu,
Wieczna bowiem zima trwa w włoskich krainach,
Twardy lód na górach, biały śnieg w dolinach.

Lecz nasz lud na wszystko radzić sobie zdolny,
Gdy ich mróz wskrós przejął, krew stężył wiatr polny.
To złazili z siodeł, zginali się w dwoje,
I brali dla ciepła na grzbiet konie swoje.



X.

Tak przyszli do Polski, przy pomocy Boga,
A z Polski do Indji, z kąd już blizka droga.
Francja jak wiadomo z Indjami graniczy,
Lecz się droga do niej do najgorszych liczy.

W środku Indji pasmo gór się rozpoczyna,
Które co krok dalej to się wyżej wspina,
A tam już gdzie Indje Francji dotykają,
Te olbrzymie góry do nieba sięgają.

Tam się to pocili pocziwi ludziska!
Każdy zrzucał halsztuk i wszystko co ściska,
I jak zrzucić nie miał, kiedy wprost nad głową,
Dzień i noc im słońce sterczało pionowo.

Powietrze im tylko za pokarm służyło,
Łyżką je jadali, takie gęste było,
A kiedy odwilżyć gardło pragnął który,
Musiał jak kot zręcznie chlępnąć wody z chmury.

Wreszcie na szczyt wleźli jak cudem prawdziwie,
Tu skwar piekł, więc nocą się wlekli leniwie,
Bo niedobra wcale tam droga do jazdy,
Gdyż się potykały koniska o gwiazdy.

Kiedy tak jechali wśród gwiazd krok za krokiem,
Myślał Janczi wodząc w okół siebie okiem:
„Powiadają ludzie, że gdy gwiazda złata,
To na ziemi człowiek schodzi z tego świata.

„Szczęście masz macochó! szczęście twe djablico,
Że ja nie wiem, które komu gwiazdy świecą,
Przestałabyś Ilusz przeciążać robotą,
Bobyś twoją gwiazdę zaraz zepchnął w błoto.”

W końcu znowu droga na dół iść zaczęła,
Równina się przed ich oczy rozwinęła,
Znikł skwar, pole trawą się zazieleniło,
I w powietrzu jakoś Francję już czuć było.

XI.

Francja jest krainą tak sobie milutką
Jak Chanaan mały, by powiedzieć krótko.
To też turcy ślinkę oddawna łykali,
Żeby ją spustoszyć, aż ją najechali.

Gdy madjary doszli do francuzów państwa,
To było jak mrowia tam tego pogaństwa,
Łupili kościoły nędzni bezbożnicy,
Wypijali wina po każdej piwnicy.

Wiele miast w perzynę już poobracali,
Co się nawinęło to w pień wycinali,
Sam król nawet z swego grodu był wygnany,
Rozłączony od swój córki ukochanej.

Turek wszędzie grabił, turek wszędzie rządził,
 A król z miejsca w miejsce po królestwie błędził;
 Kiedy go ujrzeli węgry w doli takiej,
 To się popłakali pocziwe chłopaki.

Nieszczęśliwy władca to im dał pytanie:
 „Prawdaż, że to smutno w takim zostać stanie?
 Mogłem skarby moje z szachem perskim mierzyć,
 A teraz mam ledwie co zjeść aby przeżyć.“

Na to wódz chciał słowo rzec pocieszające:
 „Porzuć, wielki królu, te myśli dręczące,
 Nauczymy tańczyć ten lud znany z złości,
 Za wszystko, co zrządził złe waszej miłości.

„Tę noc tylko pozwól, że spoczniem po drodze,
 Bośmy tym pochodem zmordowani srodze,
 Jutro do roboty zaraz się weźmiemy,
 I stracone państwo tobie odbijemy.“

A król lamentuje i strasznie się smuci:
 „Moja biedna córka któż mi ją powróci?
 Wezyr porwał dziecię moje ulubione,
 Kto ją turkom wydrze, weźmie ją za żonę.“

Do nagrody takiej aż się dusza śmieje,
 Każdy madyar uczuł w swém sercu nadzieję,
 I przysięgał sobie w bojowym zapale:
 „Zginę dla królewny, albo ją ocale!“

Nie uważał tylko Janczi Kukoryca,
Jak ponętną była króla obietnica,
Jego myśl dążyła w odległe krainy
Do Iluszki-duszy, do perły jedynéj.



XII.

Jako wschodzi codzień, słońce weszło rano,
I musiało uczuć radość niesłychaną,
Bo mu się nie codzień takie widzieć zdarzy
Rzeczy, jakie w dzień ten zdziałali Madjarzy.

Trąbka zadźwięczała. Słyszac dźwięk bojowy,
Każdy Madjar stanął do walki gotowy;
Każdy miał szablę tak ostrą jak brzytwę,
Konie się wspinały, przeczuwając bitwę.

Gdy się huf bojowy uszykował ładnie,
Chciał król iść z nim razem, walczyć gdzie wypadnie;
Rozsądny dowódca huzarów dopiero
Ten krok mu odradził swą przemową szczerą:

„Stłum swoją odwagę, najjaśniejszy panie,
 Ramię twoje walczyć już dziś nie jest w stanie,
 Prawda, że ci męstwo twe czas pozostawił,
 Lecz siły potrzebnej do miecza pozbawił.

„Miłościwy królu, w nas ufaj po Bogu,
 Przed wieczorną rosą pomścim się na wrogu,
 Zniszczym go do szczętu i w złotej koronie,
 Zasiądziesz napowrót na królewskim tronie.“

Potem węgry konie ostrogami spięli
 I przed hordą dzikich pohańców stanęli.
 Chcieli Turcy zmykać, ale się wstydzili,
 Bo im heroldowie walkę ogłosili.

Gdy się to odbyło, zahuczały rogi
 I zarżały konie, w bój ruszając srogi;
 Szabel szczęk, wesołe okrzyki, wystrzały,
 Takie były węgrów bojowe sygnały.

Każdy ostrogami konia spinał w boki,
 Od tententu kopyt świat się trząsał szeroki,
 Widząc, co się dzieje, serce ziemi drżało,
 Jakby to, co dalej ma być, miarkowało.

Siedem miał buńczuków basza tłusty nader,
 Gdyż brzuch jego mógłby zmieścić siedem wiader;
 Jego nos niekształtny jak spory ogórek,
 Czerwonością zdradzał, że pił tego Turek.

Ten brzuchaty wezyr pogan swych szeregi
 Wysztyftował podług prawideł strategii, —
 Turcy by się wielu natarciom oparli,
 Lecz musieli uledez, gdy węgry natarli.

Zaczął się bój straszny i okropny zamęt,
 Kurz z pod kopyt koni zakrywał firmament,
 Lała się krew turków tak, że w owej porze
 Zdał się łąn zielony jak czerwone morze.

Rzeź, mord ciągły. Każdy Madjar pogan chlastał,
 Stos tureckich trupów jako góra wzrastał,
 Basza z grubym brzuchem tylko się uchował,
 I na Janczi właśnie szablę swą skierował.

Janka Kukorycy jednak to nie straszy,
 Miecz trzymając w ręku, rzekł on tak do baszy:
 „Nazbyt na jednego tłustyś panie bracie,
 Więc ja z ciebie zrobię dwóch, ty chrześcijan kacie.“

Ledwie tę myśl powziął, a już zrobił swoje,
 Tureckiego baszę rozplatał na dwoje:
 Pół kadłuba padło w lewo, a pół w prawo,
 I tak wezyr raptem śmierć napotkał krwawą.

Gdy ten czyn ujrzała kupa turków trwożna,
 Wnet się w tył zwróciła i w nogi, gdzie można,
 Dotądby zmykali nędzne niedowiarki,
 Gdyby im huzary nie wpadli na karki.

Gdy ich dopędzili, rozpoczęli żniwo,
 Głowy, ręce, nogi sypały się żywo;
 Jeden tylko jeszcze umykał nietknięty,
 Temu właśnie Janczi nachodził na pięty.

Był on synem baszy, chciał się wymknąć cały,
 Miał z sobą na siodle jakiś ciężar biały,
 Była to królowna Francji nieszczęśliwa,
 Omdlała z przestachu i prawie nieżywa.

Janczi za nim pędzi w nieścigłym galopie,
 Wołając: „Stój! niechaj miecz w tobie utopię,
 Stój! czekaj! niech w brzuchu dziurę ci wyżłobię,
 By przez nią do piekła duch twój poszedł sobie.“

Pewnoby poganin nie przerwał swój drogi,
 Gdyby mu koń jego nie padł wiatronogi,
 Lecz gdy upadł rumak i powstać nie zdołał,
 Tak do Janczi turczyn ze łzami zawołał:

„Łaski! o rycerzu, chociaż ciosy twoje
 Nic nie oszczędzają, oszczędź młodość moję.
 Jestem młody, umrzećby mi się nie chciało,
 Wszystko co mam zabierz, tylko puść mnie cało.“

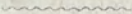
„Nic ci brać nie myślę, co mi po twém złocie?
 Prosisz się o życie, a więc żyj w sromocie.
 Wynoś się ztąd prędko i nieś do swych braci
 Wieść, jak się to u nas za rozboje płaci.“

Skoczył Janczi z konia, pobiegł ku królownie;
I w jej cudne oczy, patrzące niepewnie,
Spojrzał, a królowna zbudzona z omdlenia,
Rzekła tak do sprawcy swego ocalenia:

„Drogi mój wybawco, kto jesteś nie badam,
Lecz serdeczną wdzięczność mą ci wypowiadam,
Chcę ci wynagrodzić za wolność wróconą,
I jeżeli zechcesz, zostanę twą żoną.“

W żyłach Janczi wrzała także krew nie woda,
Więc nie dziw że drżała jego dusza młoda,
Lecz aby poskromić wewnętrzne wzruszenie,
Janczi przywiódł na myśl Iluski wspomnienie.

Potem do królowny tak przemówił słodko :
„Jedźmy wprzód do ojca, królewno-pieszczotko,
Pomówim z nim o tém, a teraz czas w drogę,“
Wsadził ją przed siebie na koń... dał ostrogę...



XIII.

Kukoryca Janczi z królewskim dzieciąciem,
Przybył na plac boju przed mroku spadnięciem,
Słońce zachodziło i czerwonym okiem,
Rzucalo z żalością po polu szerokiem.

I widziało tylko trupy z twarzą bladą,
A na każdym trupie czarnych kruków stado;
Niebardzo mu patrzeć w krwi kałuże miło,
Więc oblicze swoje w morzu zanurzyło.

W blisko pola bitwy leżącym jeziorze,
Można się przeglądać było w zwykłej porze,
Dzisiaj to jezioro było wskrós czerwone:
Myli w niém huzary ręce krwią zbroczone.

Gdy się oddział cały obmył ze krwi świeżej,
 Odprowadził króla do zamku, co leży
 Niebardzo daleko od pobojuwiska,
 Do monarchów Francji starego zamczyska.

Ledwie na podwórzu hufcem się zebrali,
 Janczi się z królowną ukazał w oddali;
 Byli razem, Janczi i królewska córą,
 Ona jako tęcza, a on jako chmura.

Gdy swą córkę znowu król zobaczył stary,
 Ucisnął ją, niemy z radości bez miary,
 I dopiero usta jego słowo rzekły,
 Gdy ją już jagody od uścisków piekły:

„Drugi raz się w życiu taki dzień nie zdarza!
 Hej! niech kto bądź biegnie zawołać kucharza,
 Żeby nam kolację dobrą przygotował,
 Czas już, bym zwycięzców suto uczęstował.“

„Nie ma po co wołać, najjaśniejszy panie,
 Ozwał się głos z tyłu i rądli szczekanie;
 Wszystkom przygotował do kolacji walnej,
 I już zastawiony stół w sali jadalnej.“

Miłym był nadzwyczaj dźwięk tych słów kucharskich,
 Szczególniej dla uszu huzarów madjarskich,
 Prosić się nie dali i z królem pospołu
 Poszli do jadalni, do pełnego stołu.

I jak z pola bitwy pogan w walce świeżej,
 Tak potrawy szybko zmiatali z talerzy,
 I doprawdy nie dziw, że tak głodni byli,
 Boć się tłukąc Turków porządnie zmęczyli.

Dzban już obszedł kolój kilka dobrych razy,
 Kiedy z ust królewskich wyszły te wyrazy:
 „Dzielni wojownicy, uważajcie, bowiem
 Ważnem jest szczególnie, to co teraz powiem.“

Madjarowie gwarną gawędkę przecięli,
 I królewskiej mowy słuchać przedsięwzięli,
 Ten chrząknął, ów jeszcze raz łyknął niewiele,
 Aż się wreszcie cisza stała jak w kościele.

„Wojownicza młodzi, chciej mi nazwać tego,
 Kto był dziś wybawcą dziecięcia mojego.“
 „Kukoryca Janczi nazwa ma, nieładna,
 Z chłopska brzmi, lecz, królu, nie hańba to żadna.“

Ledwie że to Janczi powiedział o sobie,
 Kiedy król mu przerwał w następnym sposobie:
 „Dobrze, od dziś jednak ja inaczej chrzczę cię,
 Wojakiem Janoszem zwany będziesz w świecie.

„Dzielny więc wojaku, słuchaj mojej woli,
 Tyś ocalił córkę mą z strasznej niedoli,
 Za to ona będzie twoją żoną prawą,
 Ty z nią na tron Francji siądź i panuj z sławą.

„Jużem dosyć długo siedział na tym tronie,
Wiek mnie przygniótł, włos mi posiwał w koronie,
Starość to nie radość, krew się w żyłach krzepi,
Zdam więc tobie rządy, im prędzój tém lepiej.

„Za tron i purpurę, za berło w dłoń dane,
Od ciebie wojaku nic nie chcę w zamianę,
Dasz mi tylko w zamku pokoików parę,
Bym w nich pędził cicho moje lata stare.“

Tak do zbawcy córki król wzruszony prawił,
Czém huzarów zdumiał, oraz zaciekał,
Rycerz Janosz jednak, nieolśniony tronem,
Tak królowi odrzekł uniżonym tonem :

„Dzięk miłości waszój za chęć dobrą składał,
Żem tych łask niegodny, jawnie wypowiadam,
I wyraźnie muszę zrobić to wyznanie,
Żem twych darów królu przyjąć nie jest w stanie.

„Musiałbym historję opowiedzieć całą,
Ażebym się z tego jasno okazało,
Że mi niepodobna postąpić inaczej,
Lecz boję się znudzić króla i słuchaczy.“

„Mów tylko, mój synu, bom ciekawy srodze,
Jaki jest twój powód, aż w głowę zachodzę.“
Na wezwanie króla w taki sposób dane,
Wojak Janosz mówił, jak tu napisane.

XIV.

Od czego tu zacząć?.... Ot, od objaśnienia,
Jak to ja doszedłem do mego imienia:
W polu kukurydzy dzieckiem znaleziony,
Janczim Kukorycą zostałem ochrzczony.

Jednego z wieśniaków pocziwe żonisko,
Poszła raz wieczorem, domu swego blisko,
Słomę zbierać z pola kukurydzonego,
I mnie zobaczyła w bruździe leżącego.

Słyszając przeraźliwe krzyki me dziecięce,
Litość w sercu czuła, wzięła mnie na ręce,
Zaniosła do chaty z tą myślą szlachetną:
„Dam mu wychowanie, wszak jestem bezdzietną.“

Miała ona strasznie gniewliwego męża,
 Ten gdy mnie zobaczył, spojrzął jak na węża,
 Darł się, wykrzykiwał z całej gardła mocy,
 Kłął na czem świat stoi aż do ciemnej nocy.

Dobra gospodyni jęła go łagodzić:
 „Przestańcież, ojczulku, żale swe rozwodzić,
 W bruździe go nie mogłam pozostawić przecie,
 Boby mnie ukarał Bóg na tamtym świecie.

„Będziecie w starości z niego mieć podpórę,
 Macie bydło, owce, gospodarstwo spore,
 Chłopak wzrośnie, darmo nie będzie jadł chleba,
 Najmować beresza nie będzie potrzeba.“

Przyjął mnie nareszcie po rozprawie takiej,
 Ale nieraz później dał mi się we znaki.
 Kiedykolwiek praca nie szła należycie,
 To mnie spotykało najstraszliwsze bicie.

Tak wzrastałem w trudzie, wciąż pod kijem prawie,
 Rzadko biorąc udział w dziecięcej zabawie,
 Lecz mnie w mojej twardej doli pocieszało
 Jasnowłose dziewczę, co we wsi mieszkało.

Matka odumarła ją młodo. Niedługo
 Wdowcem był jej ojciec, — ożenił się z drugą,
 A wreszcie i umarł, a dziewczyna biedna
 Ze swoją macochą pozostała jedna.

Dla niej były wszystkie serca mego bicia,
 Ona była różą ciernistego życia,
 Takeśmy się z czasem wzajem przywiązali,
 Że nas ludzie „parą sierot wioski“ zwali.

Dzieckiem już, ażeby ujrzeć ją znienacka,
 Zrzekłbym się wszystkiego, nawet z serem placka,
 Okiem jej spojrzenia szukałem w kościele,
 A jak się z nią pięknie bawiłem w niedzielę!

Cóż dopiero kiedym wyrósł na młodziana!
 W sercu się rozwiła miłość niesłychana,
 Kiedym pocałunek na jej ustach składał,
 Nie spostrzegłbym gdyby świat się gdzie zapadał.

Truła jej dni młode macocha zawzięta,
 Niech złej babie tego Pan Bóg nie pamięta,
 Ciągłe dokuczania granic by nie miały,
 Lecz ją moje groźby na wodzy trzymały.

I mnie także stokroć gorzej być zaczęło,
 Gdy mej opiekunki oko się zamknęło,
 Od dnia jak podała mi dłoń litościwą,
 Była ona dla mnie jak matką prawdziwą.

Twarde jest me serce w skutek twardej doli,
 Łez nie leję, w sobie przetrawiam co boli,
 Lecz na grobie matki przybranej tak rzewny
 Zdjął mnie płacz, że ciekły łzy jak deszcz ulewny.

I Iluszka także, moje dziewczę cudne,
 Płakała, a łzy jej nie były obłudne,
 Bo i dla niej zmarła była też życzliwą
 I na miłość naszą nie patrzyła krzywo.

Często powiadała: „Znoście troski swoje,
 Bardzobym połączyć rada was oboje,
 Boście tak dobrani, że aż się wam dziwię,
 No, no, moje dzieci.... czekajcie cierpliwie.“

I myśmy cierpliwie czekali na siebie,
 Bo co ona rzekła, to jak Pan Bóg w niebie
 Święcie dotrzymała; więc by nas złączyła,
 Tylko jej przedwczesna śmierć nie pozwoliła.

Byliśmy w rozpacz kiedy nam umarła,
 Jej śmierć nam ostatnią nadzieję wydarła,
 Ale nasza miłość, choć nadziei przed nią
 Nie było już, trwała ciągle jak poprzednio.

Inną jednak wcale była Boża wola,
 Miała się pogorszyć już tak gorzka dola,
 Raz się przytrafiło, żem zgubił część trzody,
 I pan mnie wypędził na skutej tej szkody.

Rozstać się musiałem z Ilusz, moją różą
 I w świat wyruszyłem, z straszną w sercu burzą,
 Pewnobym tak zaszedł aż na ziemi krańce,
 Lecz wszedłem do wojska, by gromić pohańce.

Nie prosiłem Ilusz w dzień odejścia mego,
By mi była wierną, nie szła za innego,
I nie przysięgałem jej za wierność moję,
Bo wiemy, że wiary nie złamię oboje.

Nie licz więc nic na mnie nadobna królewno,
Bo gdy nie dostanę Iluszki, to pewno
Żadna inna w świecie nie będzie mnie miała,
Choćby mnie i Ilusz na śmierć zapomniała!“



XV.

Skończył wojak Janosz rzecz swoją w ten sposób,
Przeszył swą powieścią serca wszystkich osób,
Aż się zanosila od łkania królewna,
Tak ją rozczuliła ta historia rzewna.

Wreszcie się odezwał król wzruszonym głosem :
„Zmuszać cię nie myślę, rządz jak chcesz swym losem,
Lecz teraz wojaku w podzięcie ci złożę
To czego nie zechcesz mi odmówić może.“

Skarby swe otworzył i krzyknął: „Hej! pазie!“
Pół tuzina paziów stanęło na razie,
I naładowali wór tak duży złota,
Jak nie widział Janosz za swego żywota.

„Wojaku Janoszu, coś odbił królownę,
Rzecz król, twe szczęście więcej będzie pewne,
Kiedy przy miłości sztuki złota dźwiękną,
Weź to więc i w szczęściu żyj z Iluszką piękną.

Radbym cię zatrzymał, lecz ci pilno w drogę,
Chciałbyś ujrzeć swoją gołąbkę niebogę,
Jedź, lecz towarzyszy twoich tu zostawię
I jeszcze dni kilka poświęć zabawie.“

Jako król powiedział, tak się téż i stało,
Tęsknił bowiem Janosz za gołąbką białą;
Pożegnał królownę i huzarów dziarskich,
I okrętem ruszył do krain madjarskich.

Na brzeg odprowadzał go król i tłum duży,
Wszyscy mu życzyli szczęśliwej podróży,
I chustkami dotąd za nim powiewali,
Aż zupełnie okręt znikł im z oczu w dali.



XVI.

Okręt gnał z Janoszem przez morze jak strzała,
Siła wiatru żagle potężnie wzdymała,
Lecz Janosza myśli szybciej w dal leciały,
Nie trącając w locie o rafy i skały.

Janosz myślał chodząc po pokładzie statku:
„Ej! Iluszeko, wonny duszy mojej kwiatku,
Czy przeczuwasz radość, jaka ciebie czeka,
Gdy twój luby z skarbem powróci z daleka?”

„Powracam do domu z podróży dalekiej,
By się z tobą wreszcie połączyć na wieki,
Będziem się kochali, opływali w złoto,
Chociaż jam podrzutek, ty jesteś sierotą.

„Pan mój wprowadzie ze mną, obszedł się niegrzecznie,
 Lecz mu to co zrobił przebaczam serdecznie;
 Gdyby nie on, czyżbym miał co mam inaczej?
 Więc zamiast się gniewać nagrodzę go raczej.”

Myśl Janosza często takie plany snuła,
 Kiedy pierś okrętu morskie fale pruć,
 A trwało to długo, bo daleko leży
 Piękna węgrów ziemia od Francji wybrzeży.

Raz, bez celu, wieczór, spadającym mrokiem,
 Chodził po pokładzie Janosz wolnym krokiem,
 I słyszał jak sternik rozmawiał z majtkami,
 „Czerwieni się niebo, wichr zaigra z nami.”

Janoszowi się to niezbyt podobało....
 Nad nim właśnie stado bocianów bujało,
 Bo czas był jesienny i ptastwo wędrowne,
 Leciąło w krainy południa czarowne.

Patrzył na nich jak na gońców z swój krainy,
 Jakby mu ich klekot przynosił nowiny
 O Ilusce wiernój, wiecznie mu oddanej,
 O ojczyźnie drogiój dawno niewidzianej.

XVII.

A nazajutrz jako niebo wywróżyło,
Zaczął wiatr na morzu dąć z potężną siłą,
Przestrzeń wód pokryły niezmierzone fale,
Które wicher smagał przelatując w cwale.

Wielki strach ogarnął wszystek lud na statku,
Jak to zwykle bywa w podobnym wypadku,
Nie pomogły wcale majtków wysilenia,
Próżno wyglądano zkądbądź ocalenia.

Chmury czarne kirem cały świat okryły,
Burza wciąż szalała i pioruny biły,
Niebo rysowały błyskawice krwawe....
Nagle grom straszliwy rozbił statku nawę.

Fale w dal poniosły szczątki roztrzaskane,
 A osada wpadła w morze rozhukane...
 Czyż i wojak Janosz w morskiej zginął toni?
 Przeciw pewnej zgubie jakieś użył broni?....

Hej! śmierć téż od niego nie była daleko,
 Lecz go osłoniło niebo swą opieką;
 Z biedy się wycofał osobliwie wcale,
 Grobem dlań nie były rozhukane fale.

Morze nim jak trupem miotało w zapędzie,
 I uderzał głową aż o chmur krawędzie;
 Gdy go tak raz fale podrzuciły w górę,
 Chwycił się obiema rękami za chmurę.

I już się nie puścił chmury uchwyconej,
 Tylko tak pod niebem został zawieszony;
 Gdy wiatr chmurę po nad brzeg morza zatoczył,
 Janosz wybrał chwilę, zwinnie w piasek skoczył.

Podziękował niebu przedewszystkiém inném,
 Modlitwą gorącą, westchnieniem dziękczynném,
 Utracenie skarbów niezbyt go bolało,
 Gdy przy łasce bożej wyszedł przecież cało.

Później dookoła zwrócił swoje oko,
 Tylko gniazdo gryfa zobaczył wysoko.
 Gryf ten karmił właśnie swoje młode w gnieździe,
 Janosz plan ułożył użyć go ku jeździe.

Skradł się aż do gniazda jako mógł najciszej,
 Gdy był blisko, widząc że go gryf nie słyszy,
 Skoczył nań piorunem, wbił ostrogi w boki,
 I puścił się na nim pod same obłoki. "

Machał gryf skrzydłami, chcąc go z siebie zsadzić,
 Lecz nie łatwo było z madjarem poradzić!
 Wojak Janosz bowiem nie był bity w ciemę,
 Chwycił go za szyję by nie spaść na ziemię.

Tak obleciał chyba wszystkie świata końce,
 Aż jednego rana kiedy weszło słońce,
 Promień jego światła spłynął dobroczynny,
 Na wieżycę wioski Janosza rodzinnej.

Jaką rozkosz uczuł Janosz, święty Boże!
 W oczach łez radosnych powstrzymać nie może....
 Gryf znużony drogą jednym tchem zrobioną,
 Bujał nie wysoko nad łąką zieloną.

Wreszcie na pagórku odpoczął na chwilę,
 Bo już lecieć dalej nie czuł się na sile;
 Wtedy Janosz skoczył z niego, i po drodze
 Do rodzinnej wioski, myślom puścił wodze.

„Przynoszę nie złoto, nie skarby niezmierne,
 Lecz ciekawe rzeczy i me serce wierne;
 W oczach twych Iluszek droższém to nad złoto,
 Pewno ty tu biedna czekasz mnie z tęsknotą.”

Zbliżył się do wioski z taką myślą miłą;
W wiosce było gwarno. Zdawa słychać było
Strojnych w winne wieńce wozów turkotanie,
Właśnie bowiem wówczas było winobranie.

Nie zważał na życie jakie widział w koło,
Na ludzi przy pracy nucających wesoło,
Dążył bez spoczynienia aż do wioski środka,
Aż tam gdzie mieszkała jego Ilusz słodka.

Dotknął klamki u drzwi dłonią dziwnie drżącą,
I było mu jakoś na sercu gorąco,
Wszedł wreszcie i zamiast Ilusz jasnowłosej,
Ujrzał obcych ludzi, cudze słyszał głosy.

„Nic nie wiem doprawdy, zmyliłem się może,”
I ujął za klamkę. A w tém dziewczę hoże,
Co nad gospodarstwem w chacie się krzątało,
„Kogóż to szukacie?” — grzecznie go spytało.

Janosz odpowiedział, kogo szukał w chacie.
„Ach! co?... to wy, Janczi!... i tak wyglądacie ...
Poznać was nie mogłam.... twarz taka spalona!”
Tak rzekła dziewczyna szczerze ucieszona.

„Widać jednak w drodze Bóg was darzył zdrowiem:
Chodźcie tu, tysiące nowości wam powiem.”
Wciągnęła go, stółek dała do siedzenia,
I tak znów prawiała, szybko, bez spoczynienia:

„Poznaliście mnie téż?... he, co?... wywietrzało
 Z głowy... Jestem córką sąsiada, tą małą,
 Często się z Iluszką chlebem mym dzieliła.....
 „Powiedzcież mi wreszcie, gdzie się Ilusz skryła?”

Janosz przerwał przecież próżne gadaniny,
 Ale łzy zabłysły na rzęsach dziewczyny.
 „Gdzie jest Ilusz wasza?... odpowiedzi chcecie?....
 Biedniście wy Janczi!... gdzie?... na tamtym świecie!”

Mieczem przeszył serce Janosza cios srogi,
 Zmysły go odbiegły, zbezwładniały nogi,
 Chwycił się za serce, jakby miał ochotę
 Wraz z niem z piersi wyrwać boleść i zgryzotę.

Siedział chwilę niemy, jak w posąg zmieniony,
 Potém rzekł jak ze snu ciężkiego zbudzony:
 „Mówcie prawdę, wszystko przenieść jestem w sile,
 Może poszła za mąż, lecz nie śpi w mogile.

„Jeżeli tak, raz jeszcze tylko ją zobaczę,
 I spokojny skończę me życie tułacze.”
 Spojrzał na dziewczynę łkającą z boleści,
 Jej łzy potwierdziły prawdę strasznój wieści.

XVIII.

Upadł na stół Janosz, szlochał głośno, rzewnie,
Z ocz mu łzy rozpaczy płynęły ulewnie;
To co mówił, brzmiało sucho, obumarle,
Bo mu wielka boleść głos tłumiała w gardle.

„Dlaczegoż mi turcy śmierci nie zadali?
Czemum jój nie znalazł w głębiach morskiej fali?
Pocom na tę ziemię wyszedł z matki łona,
Gdy mi taka dola była przeznaczona?”

W końcu ból się jakby znużył dokuczaniem,
I nieszczęsny Janosz ozwał się pytaniem:
„I na cóż umarła, biedna, co jój było?”
Dziewczę z odpowiedzią wcale nie zwłóczyło:

„O! biédaczka, wielkie przebyła cierpienia,
 Strasznie ją dręczyła stara bez sumienia,
 Aż ją za to skarał Bóg, co rządzi w niebie,
 Dziś jest zła macocha na zebranym chlebie.

„Za wami téż także tęskniła, płakała,
 Jeszcze was w godzinę śmierci wspominała:
 Niech cię Bóg, mój Janczi, mieć w opiece raczy,
 W niebie twoja Ilusz z tobą się zobaczy.

„Po tych słowach śmierć jój zamknęła wnet oczy...
 Skromna jój mogiła jest tu na uboczy,
 Wszyscy ludzie wioski szli za nią do grobu,
 Płaczu ich utulić nie było sposobu.“

Prostą swoją powieść dziewczyna skończyła,
 I na grób Iluszki go zaprowadziła.
 Gdy ujrzał mogiłę swojej ukochanej,
 Wojak upadł na nią boleścią złamany.

I wspominał sobie owe czasy błogie,
 Kiedy jeszcze biło serce Ilusz drogie...
 Dziś jój serce czyste, lica ukochane,
 Ścięte śmierci lodem, ziemią przysypane!

Już oddawna zniknął słońca blask czerwony,
 I z chmur wyrzął miesiąc ponury, zamglony,
 Aby bladym blaskiem cień przerzedzić gruby,
 Kiedy Janosz odszedł od grobu swój lubój.

Jeszcze raz doń wrócił. Wzrastał na mogile
Skromny krzaczek róży woń lejącej mile,
Janosz zerwał kwiecie, co rosło na grobie
I odchodząc dalej, tak znów myślał sobie:

„Biedny kwiatku, któryś wyrósł z jój popiołu,
Bądź mym towarzyszem, chodź ze mną pospołu,
Pójdę w świat szeroki, gdzie oczy powiodą,
Aż śmierć méj męczarni stanie się osłoda.“



XIX.

Dwoje towarzyszy miał Janosz w téj drodze:
Smutek w głębi serca, dręczący go srodze,
I miecz ciężki w pochwie, który z taką sławą
W walkach z poganami rdzą się okrył krwawą.

Z niemi szedł po świecie nieznanemi drogi...
Już kilkakroć miesiąc odmienił swe rogi,
Wiosna już pokryła świat kwieciami kobiercem,
Janosz rzekł do smutku, co mu miotał sercem:

„Kiedyż wreszcie spoczniesz czarny ty potworze,
Smutku nieprzebrany, w męczarni doborze?
Jeśli nie chcesz zabić, nie dręcz mnie daremnie,
Przestań czczać igraszkę robić sobie ze mnie.

„Widzę, że nie umiesz śmierci mi sprowadzić,
Muszę sobie zatem inaczej poradzić;
Do was się obróć przygody, wy prędjź,
Położycie koniec życia mego nędzy.”

Tak przemawiał Janosz i smutek go rzucił,
A choć potem kiedy dręczyć go powrócił,
To zastawał serce zamknięte i głuche,
I mógł tylko łzami zwilżyć oczy suche.

Wkrótce i łez w oczach przebrały się zdroje...
Dzielny wojak Janosz wiódł tak życie swoje,
Aż je zawlókł wreszcie między ciemne bory,
I tam dnia jednego wóz napotkał spory.

Był to wóz garncarza, dość ciężki w istocie,
Bo ładowny gliną. Stał nad osie w błocie.
Biedny garncarz walił wciąż koniska biczem,
Ale ich wysiłki wszystkie były niczem.

Janosz rzekł: „Daj Boże dzień dobry, człowiecze,”
A garncarz mu w oczy spogląda i rzecze,
Bojąc się go trochę i złoszcząc się wściekle:
„Nie mnie dziś dzień dobry, ale djabłu w piekle.”

Janosz na to: „Niezbyt jesteście w humorze.”
„Któż przy takiem błocie weselszym być może?”
Płakał garncarz. „Tłukę szkapę ile włazi,
I od rana wybrnąć nie mogę z téj mazi.”

„No no, nie martwcie się, ja wam dopomogę,
Tylko mi powiedzcie czy znacie tę drogę?”
Janosz wskazał drogę, co prosto jak strzała,
Przez sam środek właśnie las ów przecinała.

„Gdzie ta droga wiedzie? Powiem wam najszczerzej,
Drogi tej jak ognia unikać należy,
Bo ona do kraju olbrzymów prowadzi,
Ktokolwiek tam wstąpi, zabija go radzi.”

Janosz odpowiedział: „Nic mi to nie szkodzi...
No, a teraz wóz wasz wyciągnąć się godzi.”
Ujął za wóz z tyłu wojak Janosz śmiejąc,
I w tył go pociągnął jakby bagatelę.

Garncarz rozwarł usta i oczy wylupił,
Krzyknął: „Chryste Panie! któryś nas odkupił!”
Chciał dziękować, ale Janosz już tymczasem
Uszedł dość daleko wielką drogą, lasem.

Przeszedł wojak Janosz różne okolice,
Aż doszedł pod państwa olbrzymów granice.
Tam płynęła woda, strumykiem ją zwano,
Choć powinna była nosić rzeki miano.

Olbrzym bardzo straszny po nad tym potokiem,
Jako strażnik kraju chodził wolnym krokiem;
Janosz pragnąc ujrzeć całą tę figurę,
Musiał zadrzeć głowy, jakby patrzył w chmurę.

Ledwie że do kolan dosięgał mu głową.
 Olbrzym prawił głosem grzmiącym piorunowo:
 „Zda mi się, że w trawie jakiś człowiek chodzi,
 Nogą go zادةpczę, nie to mi nie szkodzi.”

Gdy to właśnie zrobić myślał zagniewany,
 Janosz podniósł w górę miecz wypróbowany,
 Drgał stąpił, ale w skutek skaleczenia,
 Krzyknął... cofnął nogę... i padł do strumienia.

„Właśnie jak mi trzeba, tak się w wodę stoczył,”
 Myślał Janosz. Szybko na olbrzyma skoczył,
 I ciało strażnika, tak groźnego wzrostem,
 Do przebycia wody stało mu się mostem.

Gdy szedł Janosz po nim krokiem nie leniwym,
 Olbrzym się naprawdę wydawał nieżywym,
 Lecz pragnąc być pewnym, że go z świata zgładził,
 Janosz miecz mu w piersi po rękojeść wsadził.

I nie patrzył olbrzym już według zwyczaju,
 Czujném swoim okiem na granice kraju,
 Widział tylko okiem swém zaćmienie słońca,
 A zaćmieniu temu nie miało być końca.

Przepływając przezeń, strumień się zapienił,
 I krwią jego wody swoje zaczerwienił...
 A nasz wojak? jakaż spotkała go dola?
 Wkrótce to opowiem, jeśli słuchać wola.

XX.

Janosz ciągle dalej idąc w pośród lasu,
Stawał ze zdziwienia od czasu do czasu,
I niedziw, że stawał, bo niezawsze drogą
Takie szczególności napotkać się mogą.

Takie spotkał drzewa, że szczytu korony
Wzrok jego dopatrzyć nie mógł wyteżony,
A na owych drzewach takie były liście,
Że mógł każdy starczyć za płaszcz rzeczywiście.

Każdy komar, który brzęczał w lesie owym,
Równy był wielkością bawołom stepowym;
Dzielnie musiał Janosz ciąć żelazem swoim,
Aby się opędzić przed komarów rojem.

Jakąż to dopiero wrona być musiała!
 Janosz ujrzał jedną, na drzewie siedziała,
 Choć był jeszcze od niej o pół mili z górą,
 Wydawała mu się niby czarną chmurą.

Tak szedł dalej Janosz, dziwiąc się bez miary,
 Nagle ujrzał w dali jakiś ogrom szary;
 To co mu aż oczy rozmiarem zaćmiło,
 Czarnym zamkiem króla tego państwa było.

Nie przesadzam... brama do gmachu olbrzyma
 Była jak... ot bieda!... porównania niema,
 Dość że była wielką, boć olbrzym potrafi
 Większą rzecz zbudować, niż my na parafji.

Janosz stał w podziwie przed tą masą czarną:
 „Ha! widzę łupinę, trza zobaczyć ziarno!”
 I nie myśląc jakie przyjęcie go spotka,
 Odwarł straszne wrota i weszedł do środka.

Pierwsza rzecz mu wpadła w oko niewesoła:
 Król jadł właśnie objad w pośród synów koła,
 Lecz co jedli?... Zakład, że w tysiącu razów
 Zgadnąć nikt nie zdoła... ot, odłamy głazów.

Wojak Janosz podszedł aż do stołu śmieie,
 Choć do tego jadła gustu miał niewiele,
 Ale ów monarcha olbrzymów łaskawy
 Zaprosił go do téj wykwintnej potrawy:

„Kiedys wszedł tu człecze, to jedz co my jemy,
Nie ugryziesz skały, to my cię zgryziemy,
Krew twa na okrasę zastąpi nam olój,
A twe drobne kości weźmiem zamiast soli.”

Tak król mówił, groźnie namarszczywszy czoła,
Janosz wnet zrozumiał, że to nie żart zgoła,
I rzekł bez dłuższego nad sprawą myślenia:
„Nie jadałem dotąd takiego jedzenia,

„Lecz skosztować mogę dla Waszój Miłości,
By dowieść że cenię wasze uprzejmości,
Proszę tylko, przez wzgląd na me zęby małe,
Na kawałki mniejsze porozbijać skałę.”

Odłamawszy kawał dziesięcio-funtowy,
Król się uśmiechnięty ozwał temi słowy:
„Masz oto, gałeczka maleńka, nieznaczną,
Tylko pogryź dobrze, bo nie będzie smaczna.”

„Skosztuj ty sam pierwój téj niewielkiej gałki,
Może ci się zęby rozpadną w kawałki,”
Krzyknął Janosz gniewnie i swą dłonią prawą
Ujął kamień, okiem zmierzył przestrzeń żwawo,

I tak silnie cisnął olbrzymowi w czoło,
Że głąz przebił czaszkę i mózg trysnął w koło.
„Teraz możesz dla mnie objad z skał zastawić,
Śmiał się Janosz, widzę, że je umiesz trawić.”

Szereg synów króla był nadzwyczaj smutny,
 Patrząc na zgon ojca straszny i okrutny,
 Łzy się lały rzewne nad poległym starcem...
 Każda łza olbrzyma była wody garncem.

A najstarszy z synów w te się ozwał słowa:
 „Łaska twoja panie, niechaj nas uchowa,
 Zostań naszym królem, lecz nam oszczędź zgonu,
 Będziem podporami władzy twój i tronu.”

„To co brat powiedział, wszyscy przyjmujemy,
 Twe rozkazy święcie wypełniać będziemy,
 Zawołali wszyscy, wierz słowu olbrzyma,
 Olbrzym gdy przysięga, przysięgi dotrzyma.”

„Dobrze, rzecze Janosz, projekt wasz przyjmuję,
 Warunkowo jednak... w świat iść potrzebuję,
 Nie jest mi podobna ciągle u was bawić,
 Muszę więc za siebie zastępcę zostawić.

„Nie obchodzi mnie to, kto nim będzie zgoła,
 Rządy weźmie jeden zśród waszego koła,
 A gdy mi was będzie potrzeba gdzie w świecie,
 Wy jako mąż jeden na głos mój staniecie.”

„Weź więc tę piszczałkę, miłościwy panie,
 Kiedy na niej zagrasz, cały lud nasz stanie,”
 Rzekł najstarszy olbrzym ze czią niewymowną,
 I dał wojakowi piszczałkę czarowną.

Janosz swą piszczałkę do kieszeni schował,
Ze swego zwycięstwa wielce się radował;
Bardzo mu olbrzymy szczęścia winszowali,
Gdy z ich kraju wreszcie w świat wyruszał dalej.



XXI.

Nikt nie wie, jak długo Janosz był w podróży,
To tylko wiadomem jest, że im szedł dłużej,
Tym się ciemniej w świecie po drodze robiło,
Aż nareszcie w końcu nic widać nie było.

„Czy to noc zapada, czym ja wzrok postradał ?“
Takie sobie Janosz zapytanie zadał.
Ni noc, ni ślepotą nie były przyczyną
Tych cieni. Szedł Janosz ciemności krainą.

Słońca i gwiazd nawet nie było na niebie,
Nasz wojak omackiem szedł ciągle wprost siebie,
A co chwila w górze, po nad jego uchem,
Coś przelatywało z szeleszczeniem głuchem.

Cóż to były znowu za szelesty w górze?
 Wiedźmy odbywały na miotłach podróże,
 Bo ciemności państwo, jak wszystkim wiadomo,
 Stanowi czarownic własność nieruchomą.

Sejm mieć miały właśnie i śpieszyły po to,
 By się na czas z czarów uwinąć robotą;
 Punkt zaś ich zebrania był podług zwyczaju,
 Położony w środku wiecznej nocy kraju.

Pusta im stodoła służyła do rady,
 Pod kotłem w niej ogień rozpałyły blady,
 Janosz już z oddali spostrzegł światło sine
 I zamierzył zbadać jasności przyczynę.

Kiedy się tak zbliżył ku szopie na zwiady,
 Już się wszystkie wiedźmy zeszły do gromady;
 Przytknął tedy oko do ujrzanj szpary,
 I zobaczył rzeczy prawie nie do wiary.

Dookoła kotła tańczące baby
 Rzucały do niego łby jaszczurcze, żaby,
 Ziola z pod szubienic, nietoperze, szczury,
 Ludzkie kości, węże i kocie pazury.

Któż tam wreszcie zliczy, co wrzucały jeszcze?...
 Kiedy Janosz spostrzegł te rzeczy złowieszcze,
 Z których jędze jady wygotowywały,
 Zaraz mu do głowy przyszedł projekt śmiały.

Sięgnął po piszczałkę, by do wspólnych trudów
 Głosem jój przywołać armję wielkoludów.
 Już miał zadać właśnie, lecz się wstrzymał chwilę,
 Bo o coś twardego potknął się niemiłe.

Dotknął ręką rzeczy co mu stopy gniotły,
 Poznał, że to w kupę poskładane miotły,
 Zebrał je więc szybko i skrył na uboczu,
 Tak, by czarownicom nie mogły wpaść w oczy.

Potem wrócił, zadał w piszczałkę trzy razy,
 Olbrzymi stanęli zaraz na rozkazy.
 „Śpieszcie się do dzieła, laskonogie chłopcy,
 Wydał rozkaz Janosz. Wpadli wnet do szopy.

Wielki wszczął się tumult, zamęt i ambaras,
 Strachem zdjęte wiedźmy chciały zmykać zaraz,
 Widząc, że rzecz groźną przybrać może postać,
 Miotel nie znalazły, więc musiały zostać.

Szybko się olbrzymy wzięli do roboty,
 I za wiedźmą wiedźmę brali w swe obroty;
 Skoro którą olbrzym porwał w dłoń żyłastą,
 Ciskał nią o ziemię, — tłukła się na ciasto.

W taki sposób całą sprawili gromadę,
 Jednej tylko jeszcze trza było dać radę,
 A już się do koła widniej zaraz stało,
 I w ciemności kraju pierwszy raz zadniało.

Wprawdzie jeszcze jednej nie sprzątnęli baby,
 A więc niedziwota, że blask dnia był słaby;
 Janosz spojrział na nią, przypatrzył się trochę,
 I poznał w niej... kogo?... Iluszki macochę.

„Ha! — zawołał, — ciebie ja sam muszę zdławić,
 Wstrzymał swych olbrzymów, chcąc się z nią rozprawić ;
 Jęzga mu się jednak wysliznęła z dłoni,
 I zaczęła zmykać jak zając w pogoni.

„Za nią chłopcy! złapać mi to babsko stare!“
 Jeden olbrzym skoczył, gdy dał kroków parę,
 Już mógł nogą dostać karku stariej kwoki,
 Kopnął ją, wzleciała baba pod obłoki...

Wkrótce czarownica rozbita na piasek
 Spadła koło wioski Janosza pod lassek..
 Jakie było życie, śmierć też była taka,
 Dzisiaj nawet wrona po niej nie zakraka!

A w ciemności kraju wnet się jasno stało,
 Słońce zaświeciło światłością wspaniałą,
 Janosz wszystkie miotły w jedną kupę zwałił,
 Skrzeszał szybko ognia i na popiół spalił.

Potem z olbrzymami rozstał się na nowo,
 Ale wprzód od nich wziął powtórnie słowo,
 Że go słuchać będą, i poszedł na prawo,
 A olbrzymi w lewo udali się żwawo.

XXII.

Janosz już weselój dążył w dalsze strony,
Był bowiem ze smutku całkiem wyleczony;
Bo gdy różę z grobu Iluszki miał w dłoni,
Już się nie rozpływał w łez rozpacznych toni,

Lecz na widok kwiatu, który nosił wiernie,
Doznawał uczucia słodkiego niezmiernie,
I tak mu na duszy było lubo, błogo,
Kiedy swą Iluszkę przypominał drogą.

Szedł tak dnia jednego. Słońce zachodziło,
Różowemi barwy brzegi chmur złociło,
Potém znikło całkiem, świat się okrył mrokiem,
Płynął miesiąc blady po niebie szerokiem.

Janosz szedł wciąż. Księżyc ukrył się za chmury,
 Wojak czuł znużenie wśród nocy ponurój,
 Złożył tedy głowę na niewielkie wzgórze,
 Aby nabrać siły na dalsze podróże.

Usnął zaraz, bowiem bardzo go sen morzył,
 Nie uważał w jakiej ziemi się położył,
 Ziemią tą był cmentarz zdawna zaniedbany,
 Pazurami czasu wzdłuż i wszérz zorany.

Jako w każdą północ budzi się świat zmarły,
 O dwunastój wszystkie groby się rozwarły,
 I z każdego grobu otwartego wstało
 Widmo wiotkie, blade, przyodziane biało.

Duchy rozpoczęły śpiewy, tańce, skoki,
 Od ich stóp dotknięcia trząsły się opoki,
 Lecz nasz wojak Janosz spał tak doskonale,
 Że go te hałasy nie zbudziły wcale.

Nagle jeden z duchów spotkał go niechcący.
 „Człowiek tutaj, krzyknął, i do tego śpiący...
 Skarémy go, zuchwalca, co śmiał przyjsć tu w nocy
 Do naszego państwa... mamy go w swój mocy.”

Widma wnet Janosza otoczyły kołem,
 I coby z nim począć, radziły się społem.
 Już go porwać miały... wtém kur zapiął... duchy
 Poznikały w grobach... cmentarz znów był głuchy.

Janosz się téż zbudził na zapianie kura,
Zimno go przejęło, zsiérotniała skóra;
Spojrzał... wiatr dokoła bujał polną trawą...
By się rozgrzać, poszedł w dalszą drogę żwawo.



XXIII.

Na szczyt góry szybkim wszedł nasz wojak krokiem,
Miłym nań jutrenka spoglądała wzrokiem;
Dziwnie piękne przed nim ciągnęły się strony,
Stanął i w krajobraz patrzył zachwycony.

Patrzył tylko chwilę w oblicze jutrenki,
Zniknąć bowiem miała za moment maleńki;
Jakoby 0statnie wydała westchnienie,
Gdy ją jasne s01nca zaćmiły promienie.

Wtoczył się na niebo s01nca w03z złocisty,
Przejrza0 si0 s01nce w toni morza czyst0j,
A morze to by0 ciche, jasne, s0liczne,
Nieobj0te okiem i majestatyczne.

Fale się na toni gładkich wód nie snuły,
 Cudne ryby przestrzeń zwierciadlaną pruły,
 Kiedy promień słońca spłynął uśmiechnięty
 Na ich łuskę złotą, lśniły jak djamenty.

Stał rybaczy domek po nad brzegiem wody,
 Rybak był to czerstwy starzec siwobrody,
 Właśnie siecią ryby różnowzore łowił,
 Gdy doń podszedł Janosz i tak go pozdrowił:

„Niech wam Pan Bóg, starcze, w pracy dopomoże.
 Czybyście mnie mogli przewieźć przez to morze?
 Nie mam złota, trudów waszych nie opłace,
 Lecz zapłaci niebo za podjętą pracę.”

„Niepotrzebne dla mnie, choćbyś i miał złoto,
 Synu, odpowiedział starzec ze szczerotą,
 Bo głębina morza szczodrze mi wciąż daje
 Tyle, że do życia wygodnie mi staje.”

„Lecz kto jesteś? w jakiej przyszedłeś tu chęci?
 I czy wiesz, żeś zaszedł nad brzeg Operencji?”
 Tutaj brać za przewóz niepodobna wziętku,
 Bo to morze nie ma końca ni początku.”

„Więc to Operencja! rzekł Janosz szczęśliwy,
 O! choćby był przewóz trzykroć niemożliwy,
 Dotąd nie odpocznę, aż ją przebyć zdołam...
 Mam ja jeszcze sposób... olbrzymów zawołam...”

Świsnął. Ledwie dźwięczeń piszczałka przestała,
Zaraz jeden olbrzym przyleciał jak strzała.
„Przenieść mnie na grzbiecie, rzekł Janosz, chcesz może
Przez te wody?... możesz?... to ruszajmy w morze.“

Olbrzym się roześmiał tylko: „Czy ja mogę?...
Siądź mi na kark panie, i puścim się w drogę.
Niech się Wasza Miłość mocno włosów trzyma,
Żeby nie spaść.“ Janosz wsiadł na kark olbrzyma.



XXIV.

Ołbrzym niósł go szybko, bez stracenia chwili,
A krok jego każdy miał najmniej pół mili;
Choć przez trzy tygodnie nie zwalniali biegu,
Niepodobna jeszcze było dostrzedz brzegu.

Nagle w dali jakiś skrawek niebieskawy
Wpadł w Janosza oko: „oto cel przeprawy,
Brzeg przed nami! krzyknął, zamiar mój się uda!“
„To nie brzeg, lecz wyspa,“ odrzekł wielkoluda.

Janosz spytał jaka wyspa to być może.
„To królestwo wieszczek, jak zaraz wyłożę:
Tu jest koniec świata, a po za nim w dali
Nie ma wcale końca tego morza fali.“

„Zanieś-że mnie tedy tam, mój sługo wierny,
Gdyż być w tém królestwie mam pociąg niezmierny.“
„Dobrze, kiedy Wasza Miłość tak życzycie,
Lecz tam narażoném będzie Wasze życie.

„Przystęp do tych krain strasznie uciążliwy,
Każdej bramy strzegą potwory i dziwy“.
„O mnie się nie kłopotcz, pełń moje żądanie,
Muszę tam być, nie dbam co się ze mną stanie.“

Widząc swego pana chęci niezwalczone,
Poniósł go posłuszny olbrzym w tamtą stronę,
I niedługo zсадził na wybrzeżu... Potem
Złożył niski ukłon i poszedł z powrotem.



XXV.

Janosz wnet przed bramę kroki swoje wiedzie,
A przed bramą stały trzy straszne niedźwiedzie.
Broniły się. Wojak walczył czas dość długi,
Aż trzy bestje padły jedna obok drugiej.

„Dosyć będzie na dziś!” rzekł Janosz zdyszany,
Obrał do spoczynku ławę koło ściany.
„Wypocznijmy sobie, a do drugiej bramy
Ze świeżemi siły jutro się udamy.”

Gdy Janosza dzielne wypoczęło ramie,
Na drugi dzień rankiem był przy drugiej bramie;
Czekała go praca, bo straż i obronę
Trzy olbrzymie lwiska miały powierzone.

Rzucił się z zapalem na tych dzikich stróży,
 Błyskał miecz jak piorun na niebie wśród burzy.
 Niepodobna skreślić walki téj zajadłej,
 Ale dosyć na tém, że wszystkie lwy padły.

Na dzień jeden znowu dosyć miał téj bitki
 Wojak nasz, gdyż odzież przepocił do nitki;
 Spoczął więc dzień cały, a gdy pot osuszył,
 Rankiem znów do trzeciej bramy śmiało ruszył.

Panie Boże wielki! tu-ż to mu los groził!
 Był tam smok; sam widok jego już krew mroził,
 Ogrom jego ciała był prawie bez miary,
 Paszcza zmieścić mogła wołów cztery pary.

Wojak Janosz prawda ducha miał nie mało,
 Lecz mu na chytróści, przebiegu zbywało;
 Widział, że tu na nic jego miecz stalowy,
 Podstęp nie przychodził mu jakoś do głowy.

Stojąc tak przed smokiem o spojrzeniu dzikiem,
 Dumał, jak się z takim ułatwić strażnikiem.
 Dojrzał chwili, kiedy smok przymrószył oka,
 I niewiele myśląc, skoczył w paszczę smoka.

Błądził po wnętrznościach, aż serce wytropił,
 A kiedy je spostrzegł, miecz swój w niém utopił.
 Wijąc się okropnie, z rykiem, z straszném wyciem,
 Smok kłęb pary zionął i rozstał się z życiem.

Potém jeszcze Janosz pocił się niemało,
Nim mu w boku przejście wyciąć się udało.
Wreszcie się wydobył, rąbiąc trzy godziny...
Odwarł bramę... wszedł do wieszczek krainy.



XXVI.

W państwie wieszczek błogiem zimy nie ma wcale,
Wiosna je wciąż w kwiecie przystraja wspaniale,
Nigdy też nie znika ztamtąd blask słoneczny,
Jednak nie ma skwaru, trwa poranek wieczny.

Wieszczki, czarodzieje, którzy tam mieszkają,
Żadnych trosk i chorób i śmierci nie znają,
Jedynym pokarmem w tej ojczyźnie wiosny,
Jedynym napojem jest uścisk miłosny.

Łzą smutku tam nigdy nie zachodzą oczy.
Radość tylko czasem łzą szczęścia je mroczy,
Każda łza takiego błokiego wzruszenia,
Gdy spadnie na ziemię, w djament się przemienia.

Z blasku światła, którem oko wieszczek, świeci,
Różnowzore tęcze przędą małe dzieci,
A kiedy uprzedą wstęgę dosyć długą,
Stroją białe chmurki jój barwistą smugą.

Łoże z kwiatów cudnych wszystkich tam posłaniem,
Upojeni szczęściem zasypiają na niem,
W okół rozlewają się miłe wonności,
Kołysząc do marzeń najwyższej błogości.

Całe państwo wieszczek i jego powaby,
W obec tych snów błogich są jako cień słaby...
Kto w objęciach drżących dziewczę ściska lube,
Może mieć jedynie tego szczęścia próbę.



XXVII.

Kiedy wojak Janosz stanął w tamtej stronie,
Ujrzał wieczną wiosną promieniące błonie,
A gdzie się obrócił w krainie uroczej,
Blask różany nieba olśniewał mu oczy.

Wkrótce cudne wieszczki w krąg go otoczyły,
Lica mu głaskały, włosy mu trefiły,
Pieszczotami, śmiechem miłym go witały,
I oprowadzały po krainie całej.

Zrazu upoiło go takie przyjęcie,
Lecz wnet uczuł w sercu boleści ocknięcie,
W pośród wszystkich czarów, powabów, omamień,
Upadł mu na serce ciężki smutku kamień.

„Tu, gdzie wszystko kocha, tu w kraju miłości,
Ja sam tylko jeden wędnę w samotności;
Tu, gdzie wszystko błogiem szczęściem się raduje,
Tylko w jedném sercu mém szczęścia brakuje.”

Głębokie jezioro było w wieszczek ziemi,
Janosz się tam zbliżył krokami śpiesznemi,
Różę z swój kochanki grobu trzymał w dłoni,
I z boleścią w sercu tak przemawiał do niej:

„Mój jedyny skarbie, drogi mój popiele,
Wskaż mi drogę... pójde twoim śladem śmieie.”
Rzucił go w jezioro w rozpacz straszliwej,
I chciał skoczyć... Nagle stał się dziw nad dziwy.

Pióro cud ten skreślić napróžno się sili:
Kwiatek się w Iluszkę zmienił w jednej chwili;
Po przeżroczej fali płynęła omdlona,
Janosz skoczył, w drżące schwycił ją ramiona.

Jezioro to bowiem wodę życia miało,
Wszystko co umarłe w niem zmartwychwstawało,
Róża z grobu Ilusz w niem się zanurzyła,
I wnet woda życia z grobu ją wskrzesiła.

Wiele pojąć rozum ludzki jest w możności,
Lecz nie pojmie nigdy Janosza radości,
Gdy Iluszkę swoją z wód wydobył toni,
Gdy ją wziął w objęcia, gdy przemówił do niej.

Jakim bo téż Ilusz jaśniała urokiem!
Wieszczki spoglądały zachwyconém okiem,
I swoją królową wszystkie ją uznały,
Janosz został królem téj krainy całej.

W błogiej wieszczek ziemi, w kraju wiecznej wiosny,
Obok Ilusz duszy, dotąd był radosny.
Pędzi wojak Janosz na kwiecistym tronie,
Przyodziały tęczą, w gwiazdzistej koronie.



OBJAŚNIENIA.

Beresz (po węgiersku *béres*), parobek.

Czarda (po węgiersku *csárda*), samotna karczma na stepie, w lesie i t. p.

Delibab (po węgiersku *délibáb*), po francuzku *mirage*, fata morgana, złudzenie optyczne trafiające się na stepach węgierskich, oraz w Krymie, w Sycylii i w pustyniach Azji i Afryki.

Huzar (po węgiersku *huszár*), żołnierz słynnej lekkiej kawalerji węgierskiej, utworzonej przez króla Macieja Korwina w 1460 r.

Iluska (po węgiersku *Iluska*), wymyślone przez poetę imię kobiece, pochodzące prawdopodobnie od *Ilona*, Helena, lub *Juliszka* (po węgiersku *Juliska*), Julja. Zdrobnieniem tego imienia jest *Ilusz* (po węgiersku *Ilus*.)

Janczi (po węgiersku *Jancsi*), Jan, Janek.

Janosz (po węgiersku *János*), Jan.

Juhas (po węgiersku *Juhász*), owczarek.

Juhasbojtár (po węgiersku *juhászbojtár*), chłopak owczarski.

Kukoryca (po węgiersku *kukoricza*), kukurydza. *Kukoricza Jancsi* nazwisko bohatera poematu. W języku węgierskim imiona chrzestne kładą się po nazwiskach, co w przekładzie polskim niekiedy zachowywaliśmy.

Mente, kurtka huzarska.

Operencja (po węgiersku *Operencia*), nazwa morza bajecznego w ludowych podaniach węgierskich.

Pusta (po węgiersku *Pusztá*), step.

Szuba (po węgiersku *suba*), burka wieśniaków węgierskich.

